

NUMER 6734

*

*

Jak sięgnę pamięcią, zawsze był. Spoczywał w rodzinnym magazynku domowych pamiątek. Trwał między starymi fotografiami, szczególnie znaczącymi listami moich rodziców do siebie, od znajomych i przyjaciół, między dokumentami urzędowymi, od treści jakich coś kiedyś zależało. Leżał w pudełku z kilkoma maminymi pierścionkami, srebrnymi łańcuszkami, w sąsiedztwie koralu i broszek z bursztynu. Obok malutkich figurynek porcelanowych i drobnych bibelocików. Pośród, zdawało się, samych niepraktycznych przedmiotów służących jedynie przywoływaniu serdecznych wspomnień.

Przetrwał kilka burzliwych przeprowadzek. Tej pierwszej, w Częstochowie, z ulicy Waszyngtona na Adolf Hitler Strasse w 1942 roku, nie pamiętam. Drugą, w 1946, koszmarny exodus na Opolszczyznę, w rodzinne rejony babci, matki ojca, już sobie znakomicie przypominam. Z całym dobytkiem w zaplombowanym wagonie towarowym, okrężną trasę około stu czterdziestu kilometrów pokonywaliśmy przez trzynaście dni... Przy wyładunku, na docelowej stacji pod Raciborzem zostaliśmy okradzeni z wielu przedmiotów, dzisiaj byle jakich, wtedy niezmiernie wartościowych dla ówczesnego praktycznego bytu, jakieś ubrania, bielizna, narzuty... Z luksusów zginęła mała lornetka teatralna pamiętająca początek XIX wieku, po moim pra-pra-dziadku, Michale. Ale metalowy przedmiot z wygrawerowanymi na swojej powierzchni czterema cyframi, 6734, uratował się, razem z zawartością owego zaczarowanego wspomnieniami rodzinnymi pudełka.

Widywałem go wiele razy później. W pierwszym mieszkaniu na Śląsku, w drugim, trzecim i czwartym. W piątym już nie. Wyjechałem bowiem z Raciborza, okazało się, że już na stałe. Mama została sama, ojciec kilka lat po moim wyprowadzeniu się zmarł. Matkę tylko co kilka miesięcy odwiedzałem. O jego istnieniu zapomniałem. Na około pięćdziesiąt lat...

Kiedy byłem jeszcze z rodzicami nigdy jakoś nie pytałem o jego pochodzenie w naszym domu. Tak bywa, że najważniejsze pytania do bliskich rozsadzają głowę dopiero w czasie, kiedy tych najbliższych już nie ma. Dorastając, najpierw sądziłem, że należał do mojego pra-pra-dziadka Michała. Ale chyba gdzieś na początku szkoły średniej już wiedziałem, od nauczyciela historii, że nie mógł być własnością tamtego dziadka. Michał (Michael) Wedelstett, choć Prusak z pochodzenia, był generałem Kościuszki, otrzymał wprawdzie od ostatniego króla Polski za szczególne zasługi w Insurekcji podobną gratyfikację o tej samej nazwie, ale tamten był bity jeszcze w innej formie. Nie w kształcie krzyża, a owalnym.

Któregoś jesienno-wieczoru 2010 roku zadzwonił do mnie mój brat, na stałe mieszkający w Köln I przypomniał mi nagle o nim... Jest u niego w Niemczech. Przed laty nasza mama przekazała mu go z innymi pamiątkami. Wtedy brat też nie dociekał jego pochodzenia. I jemu umknęło to pytanie. W słuchawce telefonu usłyszałem, że postanowił odszukać właściciela orderu Virtuti Militari po jego kolejnym numerze nadania, 6734, wybitym na rewersie.

W tej sprawie brat napisał do Centralnego Archiwum Wojskowego w warszawskim Rembertowie. Stamtąd otrzymał kopie wszystkich dokumentów istniejących w zasobach archiwalnych, a dotyczących – jak się okazało – Wiesława Orłowskiego. Sprawa znalazła więc próg wyjścia do jej wyjaśnienia. Ale tylko częściowo. Okazało się, że odznaczony tym Krzyżem w 2010 roku musiałby mieć sto szesnaście lat, więc było zupełnie nieprawdopodobne, aby jeszcze żył. Należało odszukać jego dzieci lub wnuków. Dane synów, Andrzeja i Jana, figurowały w dokumentach meldunkowych z 1933 roku. Obaj urodzili się w

latach dwudziestych XX w., teoretycznie mogli żyć. Było kilka kolejnych adresów zamieszkania rodziny Orłowskich i śladów ich tam pobytu. Były przed wojną przez instytucję wojskową aktualizowane ze względu na przekazywaną co miesiąc gratyfikację pieniężną za otrzymanie orderu. Można było się też dowiedzieć o profesji Wiesława Orłowskiego i kilku miejscach jego zatrudnienia. Ale tylko sprzed 1939 roku, co stanowiło problem - po zawierusze wojennej i upływie kilkudziesięciu lat - z możliwością odszukania ich tropów w jakichś archiwach. Ponieważ brat mieszkał na przeciwnym do Polski krańcu Niemiec potrzebował pomocnika lepiej zorientowanego w polskich ewentualnościach instytucjonalnych. Zabrałem się więc i ja do niemal detektywistycznej roboty.

Poszedłem więc za wstępnymi wskazówkami zawartymi w dokumentach z CAW. Puławy, Kielce. Później za tymi, jakie otrzymałem z archiwów tych miast. Busko, Pińczów, jakaś Konopnica... Wiesław Orłowski był inżynierem, specjalistą od budowy dróg i mostów. W Kielcach i Puławach sprawował odpowiedzialne funkcje w zakresie swojej profesji. Bodaj z archiwum kieleckiego otrzymałem informację o już powojennym adresie jego miejsca pracy, skąd odszedł na emeryturę.

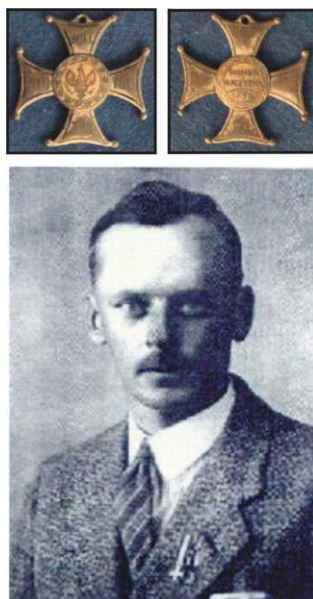
Zrazu wydawało mi się, że odszukanie rodziny Wiesława Orłowskiego nie nastreczy trudności. Ale we wszystkich odpowiedziach, jakie otrzymywałem na moje pytania zaznaczano, że podawane mi informacje są skąpe, niestety, albo że nie ma możliwości – ze względu na prawo o ochronie danych osobowych - przekazania mi ich, nie jestem bowiem rodzinie bliską osobą poszukiwanego. Mój początkowy optymizm w dalszej sprawnej eksploracji okazał się błyskotliwą naiwnością.

Pierwszą więc barierą na drodze tych moich usiłowań stało się prawo. A wszystkim instytucjom, do których się zwracałem dokładnie tłumaczyłem o swoim celu w tej sprawie. Drugą – okazały się, nie wiem, niechęć, obojętność, brak zrozumienia wagi tematu? Odezwał się urząd z Buska. Zawiadomił mnie, że owszem po wojnie pracował tam Orłowski, ale wszelkie dokumenty osobowe jego były pracodawca przed laty przekazał do archiwum kieleckiego. Z Kielc nadesłano mi podaną wyżej informację plus odmowę szczegółów: prawo o danych osobowych... Z USC w lubelskiej Konopnicy nadeszła enigmatyczna wiadomość o zawarciu w 1953 roku związku małżeńskiego przez niejakiego Jana Orłowskiego. Ale czy był to syn Wiesława? Jakież adresy, pochodzenie młodej małżonki? Ani słowa... Później się okazało, że ten Jan, to ktoś inny, nie syn Wiesława, zwykła zbieżność nazwiska i imienia...

Postanowiłem zainteresować tematem media. Więc od najbliższych terenowo. Echo Dnia w Kielcach posiadające oddziały lokalne. Żadnej odpowiedzi. Potem znaczącą niby gazetę centralną, Wyborczą, oddział w Krakowie. Cisza. W kolejności wysyłałem maile do redakcji portali internetowych zajmujących się historią Polski i wojskowością. Nic stamtąd. Tu byłem bardzo zdziwiony, bo przecież chodziło o prawdziwego bohatera w moralnie znaczącej bitwie dla uzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku, nie o jakiegoś ewentualnie podejrzanego, słabo zweryfikowanego „żołnierza wyklętego” z czasów po drugiej wojnie. Wysłałem też prośbę o pomoc do redakcji programu telewizyjnego „Było nie mięło”, osobiście do red. Adama Sikorskiego. Ale i poszukiwacz złomów wojennych milczał. Te moje usiłowania w przekazaniu znaczącej pamiątki rodzinnej we właściwe ręce trwały trzy lata. Poczuję się prawie zrezygnowany w sprawie.

Chyba w początku 2014 roku wpadłem na skuteczny, jak się okazało, pomysł. W internecie, na jednym z portali prowadziłem bloga. Umieszczałem na nim polityczne komentarze w formie rysunków. Postanowiłem tam zawiesić anons o poszukiwaniu. Umieściłem na nim, poza stosowną treścią słowną z danymi interesujących mnie osób i numerem swojego telefonu, także dwie fotografie: Wiesława Orłowskiego i awersu z rewersem orderu VM nr

6734. Impuls tego przedsięwzięcia okazał się strzałem w przysłowiową dziesiątkę. Ale to okazało się dopiero po kolejno wielu upływających bez oczekiwanego rezultatu miesiącach.



Gdzieś po około roku od mojego w internecie anonsu, zadzwieczył nieznanym mi numerem telefon. Męski głos, upewniwszy się, że ja, to ja, przedstawił się: Jerzy Orłowski, wnuk Wiesława... Poczulem ogarniającą mnie radość i niezmierną ulgę. Mogłem poznać historię bohatera bitwy Kaniowskiej z 11. maja 1918 roku i w sposób serdeczny rozstać się z cenną pamiątką, nie mojej wszak rodziny. Może, przy okazji, dowiemy się z bratem jakim sposobem ten order trafił pod dach naszych rodziców?

Bitwa Kaniowska...

Nie jestem historykiem, więc nie będę się tutaj zajmować genezą, szczegółową analizą i dokładnym opisem tej bitwy. Aby jednak umiejscowić w niej postać Wiesława Orłowskiego pokrótce przypomnę jak doszło do starcia armii Hallera z wojskami niemieckimi majowego dnia 1918 roku pod ukraińską miejscowością i jakie znaczenie miał ten wojenny epizod – z czasów I Wojny Światowej – dla przyszłej, nieodległej już wtedy niepodległości Polski. Także szukaniem miejsca, w jakim wówczas odnalazł się bohater niniejszych wspomnień.

Mimo początkowo brawurowej, a nawet heroicznej postawy polskiego żołnierza starcie to zakończyło się kapitulacją Polaków. Jednak bój pod Kaniowem, w czasie największych zwycięstw Niemców na zachodzie i wschodzie, miał ogromną wartość polityczną i moralną dla całego narodu polskiego, jako protest orężny przeciw przemocy okupantów – jedynej podówczas, niezależnej Polskiej Siły Zbrojnej. Wydarzenie to, choć nie zaważyło bezpośrednio na losach niepodległości Polski, to wyraźnie pokazało Niemcom i Austriakom, że polskie aspiracje niepodległościowe mogą się nareszcie urzeczywistnić, że Polacy są gotowi do ostatecznej rozgrywki o uwolnienie swojego państwa po ponad 120 latach zaborów.

Przypomnijmy więc. Na znak protestu przeciw niekorzystnym dla walczącej o niepodległość Polski postanowieniom traktatu brzeskiego (kosztem ziem polskich – Niemcy i Austro-Węgry zgodziły się oddać Chełmszczyznę i Przemyśl - utworzono Ukraińską Republikę Ludową) II Brygada Legionów Polskich przebiła się na wschód przez front rosyjsko-austriacki, gdzie – po połączeniu z innymi wojskami polskimi – utworzono II Korpus Polski. Wojska te, dowodzone przez Józefa Hallera von Hallenburg, stacjonowały pod Kaniowem

na Ukrainie, co Niemcy uznali za złamanie postanowień traktatu. Polacy otrzymali od dowództwa niemieckiego ultimatum złożenia broni. Haller jego nakaz odrzucił. Zaskoczeni postawą Polaków Niemcy, niby wycofując swoje żądania, rozpoczęli przygotowania do zaatakowania polskich oddziałów.



Gen. Józef Haller von Hallenburg

W swoich pamiętnikach Haller tak wspominał pierwsze chwile bitwy: „O pierwszej godzinie w nocy, 11 maja, zostałem obudzony alarmem z placówki, która stoczyła bohaterską walkę. (...) Z tej placówki był pierwszy raport o wtargnięciu Niemców na teren Korpusu. Wkrótce strzały karabinowe i armatnie dały znać o toczącej się bitwie”.

Pierwsze uderzenie Niemcy skierowali na miejscowości Kutelewkę i Potok. 1. szwadron 6. p. pułku ułanów, rozlokowany w Kutelewce, został całkowicie rozбит. Uderzenie na Potok poprowadzono z trzech stron. Manewr ten zaskoczył śpiących żołnierzy i pozwolił Niemcom na zajęcie wsi. W ręce Niemców wpadła bateria artylerii, odcięty został jeden z pułków strzelców i tzw. Legia Oficerska. Właśnie w tej formacji służył Wiesław Orłowski.



Po koncentracji oddziały polskie cofnęły się do rejonu wioski Jeremczycha i tam zajęły pozycje obronne. Po skutecznym manewrze naszego bohatera, polegającym na brawurowej akcji, której skutkiem było zdobycie przez niego, a właściwie odebranie uprzednio przejętego przez Niemców polskiego cekaemu i skierowanie jego ognia w newralgiczny punkt ataku wroga, Legia odbiła będący czasowo w niewoli sztab Dywizji. Godzinę później

Niemcy zaatakowali Kozin. W trakcie dalszych walk, ok. godz. 9.00, podporządkowane pułkownikowi Sochaczewskiemu dwa szwadrony 6. pułku ułanów przeprowadziły niezwykle skuteczne szarże na piechotę niemiecką kładąc ich oddziały pokotem, a żyjących jeszcze żołnierzy zmuszając do panicznej ucieczki. Jednym szwadronem dowodził por. K. Lenartowicz, drugim por. W. Cieśliński. Obaj ci oficerowie zostali później za niezmiernie skuteczny atak odznaczeni Krzyżami Orderu Virtuti Militari V klasy. Taka sama nagroda także spotkała - za wyjątkową odwagę - Wiesława Orłowskiego. Źródła historyczne, do jakich udało mi się dotrzeć, wymieniają jedynie dwóch pierwszych bohaterów, jako kawalerów tego wysokiego odznaczenia, zasłużonych w bitwie kaniowskiej. Choć w opracowaniach historycznych znajdowałem wzmianki o epizodzie z owym cekaemem i odbiciem sztabu Dywizji, to jednak nigdzie nie podano nazwiska głównego autora tych działań.

Andrzej Hlawaty (emigracyjny historyk wojskowy) w „Dziejach 6. Pułku Ułanów Kaniowskich” pisał m. in.: „Po szarżach Lenartowicza i Cieślińskiego (...) do ich niewoli dostało się 50 piechurów, dwa cekaemy i pewna ilość broni ręcznej. Polacy stracili jednego zabitego i pięciu rannych”. Ja dodaję: jeden z tych ciężkich karabinów maszynowych zdobył i skutecznie go użył właśnie Wiesław Orłowski.

Wieczorem, 11. maja 1918 roku, wiek temu, pod Kaniowem, Polakom zaczęło jednak brakować amunicji. Ale to Niemcy, którzy mimo znaczącej przewagi ponosili w walkach z Korpusem wysokie straty, wysłali do Hallera parlamentariusza. Poprosili o zawieszenie broni, nie widząc potrzeby dalszego rozlewu krwi. Z pamiętników generała Hallera: „Widocznie mieli duże straty. Ja, siedząc od rana na siodle bez żadnego posiłku i całkowicie przemoknięty do nitki, odebrałem jeszcze meldunki od poszczególnych walczących oddziałów, aby się przekonać, czy jest możliwość dalszej walki. Wprawdzie straty moich oddziałów nie były duże, ale meldunki o braku amunicji, tak karabinowej, jak i armatniej, były powodem mojej decyzji o przerwaniu walki”.

Wynegocjowane z Niemcami warunki kapitulacji zakładały możliwość powrotu żołnierzom Hallera do Polski, „lecz nie jako jeńcy, lecz bądź to do wcielenia do wojsk polskich w Warszawie, bądź dla zdemobilizowania, z tym że cała broń miała być oddana również wojsku polskiemu” - wspominał polski dowódca. Jednak Niemcy nie dotrzykali warunków. Bezbronni Polacy zostali ograbieni i skierowani do obozów jenieckich. Ale 250 Polakom z generałem Hallerem udało się zbiec. Jednak nie było między nimi Orłowskiego. Ranny, podczas zdobywania cekaemu, stał się jeńcem. W niewoli niemieckiej przebywał do 10. listopada. Po jej opuszczeniu trafił do oddziału ochotniczego stacjonującego w okolicach Łukowa. Stamtąd, razem z jednostką został wcielony do 35. pułku piechoty w Warszawie.

Wniosek o wysokie odznaczenie chorążego Orłowskiego sporządził kpt. Galiński, jego przełożony i dowódca Legii Oficerskiej. Ostateczne zatwierdzenie odznaczenia podpisem gen. Hallera nastąpiło dopiero 30. października 1921 roku. Między majem 1918 roku a końcem 1921 było dużo ważniejszych dla Polski spraw, burzliwe, trudne tworzenie państwa, w nim wojna polsko-rosyjska, w której Orłowski również brał udział. Czy to z niej wyszedł z Krzyżem Walecznych?

CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE
ul. 482.75-7074 ORŁOWSKI
Copyright Centralne Archiwum Wojskowe, Warszawa

Wzrost: 187 cm II korp. [47]
 odwołanie do formularza nr 1
 D.M. 1917
 J. 9.9.

.....


na odznaczenie orderem "Wirtuti Militari" w wydziale
 Szpitala Specjalnego z dnia 1917 r.

1.	stopień	<u>Chirurg</u>
2.	imię i nazwisko / wyznaczenie placówki	<u>Orłowski Wiesław</u>
3.	potwierdzenie nazwiska podpisem dowódcy	<u>Galinowski</u> <u>Kapt. i m. k. k.</u>
4.	data wstąpienia do	

6734

Mnoski 27/8

ARW
K. 12
Wzrost do 1917 r.
Wzrost do 1917 r.
Zakres:



Galinowski
Kapt. i m. k. k.

podpis dow. szpitala

10.	11.
Nazwiska dowódców i wyższych przełożonych w czasie ukończenia czynu wojennego.	Opinia przełożonych i wniosek na stopień orderu.
<p>Woj. pluc. /</p>	<p>Woj. pluc. /</p>
<p>Woj. korp. /</p>	<p>Woj. korp. /</p>
<p>Woj. szpital. /</p>	<p>Woj. szpital. /</p>
<p>Woj. pułk. <u>Kaptan Galinowski</u></p>	<p>Woj. pułk. /</p>
<p>Woj. rezy. /</p>	<p>Woj. rezy. /</p>
<p>Woj. szpital. <u>Pulchniak Machciewicz</u></p>	<p>Woj. szpital. /</p>
<p>Woj. szpital. <u>Halder</u></p>	<p>Woj. szpital. /</p>

Kim był Wiesław Orłowski?

Urodził się w roku 1894 w Mińsku Litewskim, jako syn Piotra i Marii Różańskiej. Dzisiaj mało się pamięta o Polakach na Białorusi. Jeżeli już, umiejscawia się ich na Grodzieńszczyźnie, czasem na Braślowszczyźnie lub Polesiu. Mało w tym kontekście pamiętamy o Mińsku i Mińszczyźnie. Może dlatego, że po Traktacie Ryskim, zawartym w 1921 roku, miasto to znalazło się w obrębie Związku Radzieckiego, jego nazwa została pozbawiona drugiego członu, a nowa administracja przystąpiła do eksterminacji licznej tam ludności polskiej znacznie wcześniej, niż później na przedwojennych Kresach Wschodnich. Ze starych opracowań historycznych, nie skażonych radzieckimi fałszerstwami, czy współczesnymi ich modyfikacjami, poznajemy Mińsk wielkich Polaków, którzy setkami lat

tworzyli jego tożsamość i polską duszę. Mińsk był miastem Woyniłłowiczów, Chodzków, Prószyńskich, Wańkowiczów, Czapskich, Dybowskiego, Moniuszki, Zana, Ruszczyca...

W 1912 roku Orłowski ukończył w tym mieście szkołę średnią. W tym samym roku wstąpił do Instytutu Inżynierów Dróg i Komunikacji w Petersburgu. Studia był zmuszony przerwać po czterech latach. W 1916 roku został – jako poddany rosyjski – powołany do armii. Po ukończeniu w Odessie szkoły wojskowej uzyskał stopień oficerski. Wierność swoim rodowodowym korzeniom skłoniła go w 1917 roku do przejścia w szeregi powstającego na Ukrainie II Korpusu Polskiego. Korpus powstał 21. grudnia tego roku w miejscowości Soroki w Besarabii. O jego utworzeniu zdecydował Naczelny Polski Komitet Wojskowy, tzw. Naczpól. Była to reprezentacja żołnierzy polskiego pochodzenia w wojsku rosyjskim, powołana na Ogólnym Zjeździe Wojskowych Polaków w Piotrogradzie (8-22. czerwca 1917 r.). Prezesem Komitetu został chorąży armii imperium rosyjskiego, Władysław Raczkiewicz.

2. grudnia 1917 roku, w Kiszyniowie, utworzono Komitet Wykonawczy Związku Wojskowych Polaków Frontu Rumuńskiego. Kształtowanie tego Korpusu rozpoczęło proces tworzenia polskiej siły zbrojnej na Ukrainie. Korpus był formowany z Polaków, żołnierzy rosyjskich frontów Rumuńskiego i Wołyńsko-Podolskiego. W skład Korpusu weszli też żołnierze II Brygady Legionów Polskich pod dowództwem wtedy jeszcze płka Józefa Hallera. Dowódcą Korpusu został gen. Sylwester Stankiewicz. Pełnił ten obowiązek tylko do 25. marca 1918 r. Od 28. tego miesiąca dowódcą Korpusu był już gen. ppor. Haller. Tego samego dnia obowiązki jednego z dwóch szefów sztabu objął płk Michał Żymierski.

Po burzliwych latach pierwszej wojny, odtwarzania państwowości polskiej, w 1922 r., Orłowski został z wojska w sposób dosłowny odkomenderowany na Politechnikę Warszawską w celu dokończenia studiów. Ukończył je w 1927 roku na Wydziale Inżynierii Lądowej uzyskując status inżyniera dróg i mostów. W tym też roku, już w stopniu kapitana saperów Wojska Polskiego, przeniesiono go ze służby czynnej do rezerwy.

16. grudnia 1925 roku, w kościele św. Aleksandra w Warszawie, pojął za żonę Zofię z d. Kosińską, rokującą wielkie nadzieje w zawodzie aktorskim. Związana była wówczas z teatrem objazdowym Stanisławy Wysockiej. Z tego, dość krótkiego epizodu jej scenicznego życia zachowały się wielce pochlebne recenzje jej ról w „Balladynie” Słowackiego i „Cyrano de Bergerac” Rostanda.

Już jako inżynier, Wiesław Orłowski rozpoczął pracę w Puławach, gdzie po ukończeniu Politechniki zamieszkał razem z żoną i dwoma synami, Janem i Andrzejem. Objął stanowisko kierownika tamtejszego Zarządu Drogowego. Niemal na wstępie swojej działalności zawodowej również zapisał się w sposób szczególny. Z ramienia funkcji w puławskim ZD sprawował nadzór nad prowadzeniem znaczącej budowy. W 1931 roku Dykcja Okręgowa Robót Publicznych w Lublinie przystąpiła do budowy mostu drogowego nad Wisłą, łączącego Puławy z m. Górą Puławską, siedmioprzęsłowego, prawie w całości o konstrukcji stalowej kratownicowej, w tamtych czasach dość nowatorskiej.



Budowa mostu. Inż. W. Orłowski pierwszy z lewej.



Most w Puławach w 1934 r.



Most w Puławach dzisiaj

Projekt tego mostu pochodził z pracowni Aleksandra Pstrokońskiego. Kierownikiem budowy, z ramienia DOPR, mianowano Stefana Litwiniszyna, a na jego pierwszego zastępcę Edmunda Herę. Z tamtego czasu wywodzi się serdeczna, wieloletnia przyjaźń tego młodego wówczas inżyniera z rodziną Orłowskich. Mostowi nadano imię „Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego”. Otwarcia dokonał 20. października 1934 roku wiceminister komunikacji, Julian Piasecki. Most w czasie drugiej wojny został dwukrotnie zniszczony: we wrześniu 1939 r. przez wycofujące się wojska polskie. Potem - odbudowany przez okupantów - powtórnie wysadzony w lipcu 1944 przez uciekających Niemców. Most zrekonstruowano po wojnie w 1949 r. Generalny remont przeszedł w 1996 roku. W dalszym ciągu nosi imię Ignacego Mościckiego.

W roku 1933 Orłowski otrzymał nową propozycję pracy, obowiązki architekta powiatów puławskiego i buskiego. Rodzina przeniosła się do Buska-Zdroju. Z ramienia swojego kolejnego stanowiska Orłowski nadzorował w nowym rejonie swojej działalności zawodowej szereg robót drogowych i mostowych. Między innymi przeprowadził budowę mostu drogowego przez rzekę Wieprz pod Baranowem. W ostatnich latach przed drugą wojną, od roku 1938 do kwietnia 1939, zawiadywał pracami drogowymi wykonywanymi przez Zakłady Ceramiczne Ołtarzew.

Prywatnie Orłowscy nie tylko samym chlebem żyli. Byli bardzo otwarci i towarzyscy. Mieli sporo przyjaciół. Jednym z pierwszych w Puławach był młody inżynier, Edmund Hera, ożeniony w lutym 1935 roku z daleką kuzynką małżonki Orłowskiego, który nawet świadkował ich związkowi w kościele parafialnym na Krupówkach w Zakopanem. Zofia Orłowska przebywała wtedy w tej modnej miejscowości górskiej w sanatorium na kuracji.



Zofia i Wiesław Orłowscy, lata międzywojenne.

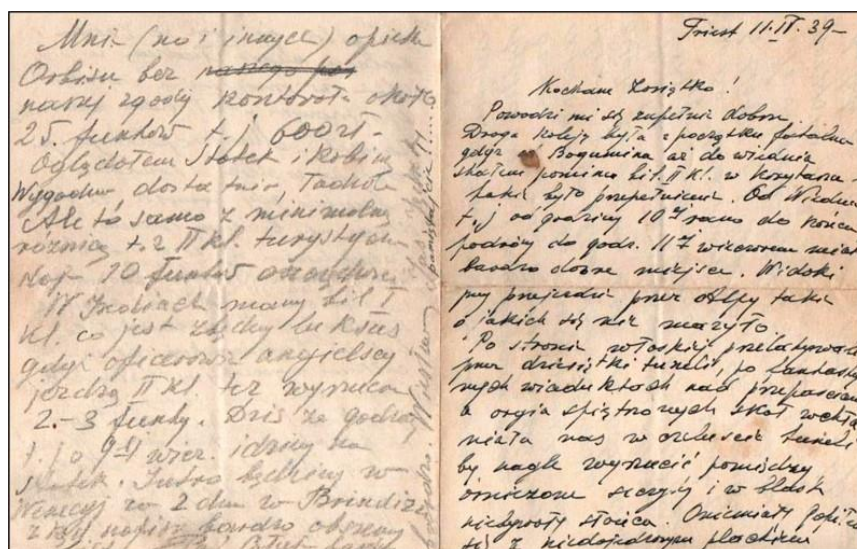
Orłowscy – jak wynika ze wspomnień inż Hery, zawartych w jego wydanej po drugiej wojnie książce – byli „zawołanymi sportowcami, uprawiającymi żeglarsko i wioślarstwo. Bywałem u nich częstym gościem, odbywaliśmy wspólne wycieczki żeglarskie lub łodzią na wiosła.” Należeli do Puławskiego Klubu Wioślarskiego, gdzie trenowali, spędzając wolne chwile na Wiśle. Ułatwiało to bliskie położenie przystani klubowej od mostowej budowy, z którą byli związani zawodowo. Uprawiali tenis, zimą narty, okolicznościowo też jazdę konną. Ale i spotykali się również na dansingach w kasynie 2. batalionu saperów kaniowskich, stacjonującego w Puławach.



Ze wspomnień inż Hery: „(...) wtedy nawiązałem przyjacielskie stosunki z państwem kapitanostwem Openchowskimi, przyjaciółmi Orłowskich (...), W każdej chwili mieliśmy więc komplet do bridża. Do naszego towarzystwa należał też Franciszek Johanson, będący starym przyjacielem Orłowskich. Wkrótce to nasze maleńkie kółko powiększyło się o pp. Bernarda i Józefinę Morawskich. Byli to bardzo towarzyscy i gościnni ludzie, lubiący wesołe życie, spędzaliśmy więc razem miło czas, wzbudzając niekiedy zgorszenie w małomiasteczkowym towarzystwie. Szef nasz, inż Litwiniszyn, człowiek żonaty, mający ośmioletnią bodajże córeczkę, Elżkę, był domatorem i trochę stronił od naszego bałaganiarskiego towarzystwa”. Ale też nie sposób pominąć tutaj faktu uganiania się Stanisława Ignacego Witkiewicza za Zofią Orłowską... jako modelką. Namalował jej dwa portrety. Zagięły, zrabowane przez hitlerowców w czasie drugiej wojny z wieloma innymi cennymi przedmiotami z domu Kosińskich-Orłowskich.

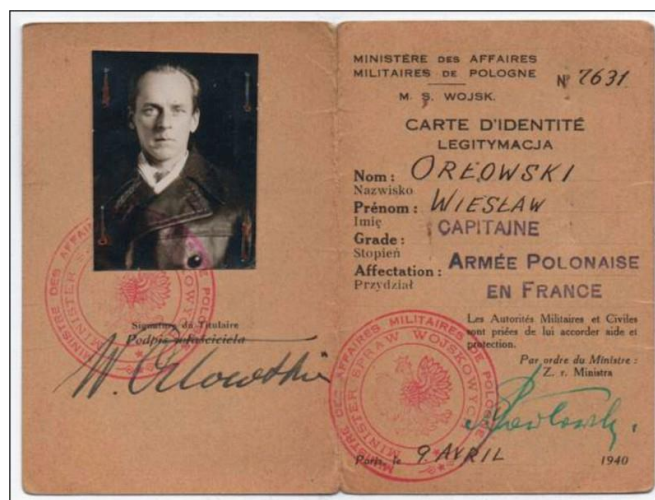
W kwietniu 1939 roku, przekonany, że przy pomocy Anglii i Francji sanacyjny rząd warszawski, „silny, zwarty i gotowy”, nawet guzika od munduru polskiego żołnierza nie odda Hitlerowi i rozgoni nadciągające nad kraj czarne chmury, Orłowski rozstał się z rodziną. Jako specjalista robót drogowych i mostowych wyjechał w ramach kontraktu do Afganistanu, do realizacji zamierzeń inwestycyjnych tamtejszego rządu. Już z drogi wysyłał tęskne i czule listy. Czy mógł przypuszczać, że na sześć przyszłych lat tylko ta pocztowa droga, ale nie zawsze skuteczna i możliwa, pozostanie łącznikiem ich miłości?

11. kwietnia 1939 roku pisał z Triestu do trzydziestosiedmioletniej żony: „Kochane Zosiątko! Powodzi mi się zupełnie dobrze. Droga kolejną była z początku fatalna, gdyż z Bogumina aż do Wiednia stałem, pomimo biletu II kl., w korytarzu. Fakt, było przepełnienie. Od Wiednia, t. j. od godziny 10-tej do końca podróży, do godziny 11-tej wieczorem, miałem bardzo dobre miejsce. Widoki przy przejeździe przez Alpy takie, o jakich się nie marzyło. Po stronie włoskiej przelatywaliśmy przez dziesiątki tuneli, po fantastycznych wiaduktach nad przepaściami, a orgia spiętrzonych skał wchłaniała nas w...” Dalej fragmenty nieczytelne, pisane dzisiaj już wyblakłym atramentem na pożółkłym po dziesiątkach lat przechowywania papierze.



Na innych kartkach z tamtej wyprawy, zachowanymi do dzisiaj w rodzinnych archiwach, dzieli się wrażeniami z dalszej podróży, np. statkiem „Conte Rosso” z Wenecji do Brindisi na wschodnim brzegu obcasy włoskiego „buta” i dalej, przez kanał Sueski i Bombaj. Z tekstów przebija się tęsknota Orłowskiego za żoną, za synami, krajem i serdeczna o nich troska.

W Afganistanie Wiesław Orłowski nie na długo zagrzał kontraktowego miejsca. Po wiadomości o wybuchu wojny w Europie i jej tragicznego dla Polski jesiennego w 1939 roku przebiegu, postanowił umowę z tamtejszym rządem króla Muhammada Zahir Chana rozwiązać. Udało mu się przedostać do Francji. Powodowany obowiązkiem odnalazł swoje nowe miejsce w tworzącej się w tym kraju armii polskiej. Krótko przebywał w wojskowym obozie w Coëtquidan, położonym w miejscowości Guer, w Bretanii. Po kapitulacji Francji z oddziałami armii przedostał się do Anglii. Tam został zdemobilizowany. Jako inżynier oddał się jednak działalności związanej z niwelowaniem skutków wojennych, jakie niebawem spotkały i ten kraj. Pracował w londyńskim zarządzie miasta przy budowie schronów i innych obiektów na potrzeby obronne.



Wyjeżdżając do Afganistanu, po jakimś wstępnym okresie zaaklimatyzowania się w tamtejszych warunkach i rozeznania wszelkich możliwości zawodowych i bytowych, Orłowski planował sprowadzenie do tego kraju rodziny. Zanim to jednak nastąpiło, nastął pamiętny wrzesień. Wypadki potoczyły się zupełnie w innych, niż zamierzane, kierunkach. Tragicznych. Typowych dla tysięcy polskich rodzin w tamtych latach.

Z osobistych wspomnień Zofii Orłowskiej, spisanych na początku osiemdziesiątych lat XX w. przez dziennikarkę „Przemiań”, lokalnej gazety kieleckiej, Jadwigę Karolczak: „Już, już miała dobić do męża z Jasiem i Jędrkiem. Ale właśnie skończyły się czasy podróżowania (...) i została sama. Znacznie później (na początku 1940 roku, dop. autora nin. opracowania) dowiedziała się, że mąż żyje (...) czeka w Bombaju na wizy do Europy (...). Z największym wysiłkiem utrzymywała synów przy życiu. To znaczy żywiła i ubierała, co wtedy nie było łatwe, a także dbała o ich edukację, pamiętna własnych nauk w domu i w warszawskich pensjach (...).

Wychowanie i kształcenie swoich dzieci uznała Zofia Orłowska za najpierwszy obowiązek. Tymczasem starszy Jaś (urodzony w 1926 roku, dop. autora nin. opracowania) zaczął się niebezpiecznie wdawać w konspirację, a Jędrus, choć dziecko jeszcze (wtedy jedenastoletni, dop. autora opracowania) miał tajemnicze kontakty z partyzantami. Nikomu nie przyszło do głowy, że może być przydatny jako łącznik. I był łącznikiem. Chyba był najmłodszym „leśnym” w Górach Świętokrzyskich. Czy wiedziała o tym? Wiedziała i sama przed sobą strzegła tej tajemnicy. Aż wypełniły się dni do owych jej imienin w maju 1940 roku.”

Wspominała sama Zofia: „Gestapo zabrało ze mną Jasia. Żandarm kopnął mnie w plecy. Wpadłam w ramiona syna, przeraziłam się jego stęzałą z rozpaczny twarzą. Zdążyłam mu powiedzieć: nie rzucaj się, to ujma nie dla mnie, ani dla ciebie, ale dla tych, co biją”.

I dalej ze wspomnień Zofii Orłowskiej przekazywanych Jadwidze Karolczak: „Takie było moje ostatnie spotkanie. Jaś nie zmieścił się do samochodu, którym mnie wywieźli przez Bodzentyn do Radomia, a stamtąd, po sześciu tygodniach przesłuchiwań – do Ravensbrück. Z karą śmierci, na blok numer 32. Byłam, jak większość kobiet, za królika doświadczalnego. Niemieccy lekarze wstrzykiwali mi bakterie różnych chorób: eksperymentowali (...). W obozie każdy rok był inny. Na początku, te z wyrokiem śmierci, wiedziały kiedy będzie egzekucja. Ale z rozpaczny rzucały się na druty, próbowały ucieczki. Więc później już nie ogłaszali terminów. Wiedziało się dopiero wtedy że jest koniec, jeśli przez dwa dni z rzędu nie wywozili do pracy (...). Właściwie nic nie wskazywało, że powinnam przeżyć, choć tam, w obozie, kobiety zachowywały – na ile było to możliwe – pozory normalnego życia. To był nieustający taniec na linie, ciągle ryzyko i to chyba ratowało mnie przed apatią, zwątpieniem, rezygnacją. Ryzykowałam życiem po to, aby żyć.

Wywozili nas do pracy, robiliśmy drewniaki. To było poza obozem. Raz, w ogrodzie wyprostowałam plecy, spojrzałam w niebo i wyraźnie dostrzegłam dyndający na gałęzi drzewa tornister. Szybko skoczyłam na tę gałąź, zajrzałam do środka, a tam jest encyklopedia astronomiczna. Cóż za radość! Siedziała z nami profesor astronomii, uczyła nas o wszechświecie (...). Zaniósłam jej tę książkę. Była szczęśliwa. No, a nasza wiedza o gwiazdach pełniejsza. Ale przecież mógł mnie strażnik ustrzelić, kiedy szybowałam na tę gałąź.

Uczyliśmy się w obozie, i to jak! Filozofii, angielskiego, śpiewu, na ogół w umywalni, bo przy cieknącej wodzie mniej było słyhać. Maja Berezowska malowała różne scenki i nasze portrety. Bez tego wszystkiego przyszloby oszaleć. Największą torturą był brak wiadomości od bliskich. W bloku śmierci nie miałyśmy prawa do paczek i korespondencji. To rujnowało nerwy.

Kiedyś zauważyłam skrzynkę na listy nieopodal parkanu okalającego nasze miejsce pracy. A w parkanie – patrzę – jest dziura. Pomyślałam: zmieszczę się. Wtedy w obozie już zabrakło pasiaków i byłyśmy ubrane w to, co Niemcy zwozili z Polski. W sortowni, na tych ubraniach były malowane olejną farbą wielkie krzyże na plecach – znak rozpoznawczy dla obozowej straży. Ale koleżanka z sortowni pomalowała mi jedno ubranie nie farbą olejną, a klejową, która się znakomicie sprąła. Miałam już kostium do odegrania nowej roli. Zakopałam go w skrytce przemyślnie wykombinowanej w ogrodzie i kiedy przyszła pora wyjścia do pracy ja pędziłam do tego schowka, przebierałam się (...), pędem do tej dziury, a potem spokojnie, jakby nigdy nic, do skrzynki. Jeszcze raz przydała mi się aktorska edukacja. Powrót: ulicą spokojnie, aż do dziury, potem sprint, przebieranie i pędem do grupy. Miałam na to wszystko dziesięć minut czasu.

Raz dopadł mnie na ulicy wielki wilczur. Nie rzucił się, ale obserwował moje ruchy, więc stanęłam świadoma, że czas mija. Czas, czyli życie. Jeszcze mogłam zawrócić do ogrodu. Ale zagrałam wtedy sama z sobą. Muszę wrzucić ten list, pomyślałam. I wrzuciłam. Pies dał mi spokój. Spóźniłam się (...). Szczęśliwie koleżanki zagadały strażników, powiedziały, że mam dolegliwości żołądkowe. A mnie było jakby lżej, jeszcze raz pokonałam strach. I dalej wrzucałam te listy i blok śmierci miał korespondencję, bo rodziny pisały do nas na nazwiska innych koleżanek z obozu. To był poker. Cały czas. Ale to było życie (...).”

23. kwietnia 1945 roku esesmani ustawili w obozie kobiety w piątki i kazali maszerować do Fistenbergu, na pociąg. Ubite jedna obok drugiej, gdzieś pojechały, ale żadna nie wiedziała dokąd. Wiadomo było tylko, że Niemcy likwidują obozy, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Okazało się, że po negocjacjach księcia Bernadotte z Niemcami Zofia Orłowska z setkami innych więźniarek, zmierzała tym pociągiem do Szwecji. Szczęśliwie, poprzez Danię, dotarła do miejsca przeznaczenia. Najpierw przeszła kilkutygodniową kwarantannę. Po tym okresie, na Malmö, uczyła... tańców ludowych. W Sztokholmie odnalazła Związek Polaków, wydający dokumenty na powrót do kraju. Nawiązała kontakt z Wiesławem, będącym jeszcze w Anglii. Mąż namawiał ją, aby została w Szwecji dłużej, dla poratowania zdrowia. Pisał, że on przyjedzie do Polski szybciej, że najpierw urządzi nowe życie i dopiero wtedy ją ściągnie. Pragnęła jednak rychło wracać do kraju.

Nie chciała czekać. Napisała do rodziny list. „Kochana Mamusku, Jasiu i Jędrusku! (...) Przybyło mi osiem kilo i dobrze się czuję. Strasznie tęsknię za Wami i chcę wracać (...). Jeśli wszystko dobrze pójdzie przyjadę „Darem Pomorza”. Żebyśmy się tylko nie wpakowali na miny (...). Czuję, że muszę wracać, że jestem potrzebna (...). Pół roku temu było to niedoścignym marzeniem. Tak było strasznie w obozie, kiedy gazowano i palono po paręset dziennie, zdawało się, że się już nigdy z tego piekła nie wydostanie (...).”

I wróciła „Darem Pomorza”. Opuściła statek w Gdyni. Płynąc nim miała dziwne sny. Najczęściej o Jasiu. Niestety. Jan Orłowski, „Urban”, poległ w 1944 roku pod Chotowem. Był

w partyzanckim batalionie AK Eugeniusza Kaszyńskiego, „Nurta”. Spoczywa wespół z towarzyszami walki. Miał zaledwie osiemnaście lat.

Wiesław Orłowski wrócił po żonie, w grudniu 1945 roku. Zrazu przyjechali do rodzinnych Mąchocic, gdzie czekał na nich drugi syn, Andrzej. Szesnastoletni milczek, po wojennych przejściach w sobie zamknięty, zagłodzony. Nie chcieli jednak budować nowego życia w miejscu ich poprzedniego szczęścia i wojennej martyrologii. Porzucili rodzinny pejzaż. Porzucili? Pewnie uciekli!

Psychicznie odszukiwali się najpierw w Gdyni. Orłowski, od 1946 roku zaczął pracować w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym w Sopocie w charakterze kierownika robót. Już rok później przenieśli się do Szczecina. Tam z kolei umiejętności inżyniera znalazły właściwe miejsce w filii słynnej warszawskiej firmy „Martens i Daab”- jeszcze wtedy prywatnej – wykonującej roboty budowlano-inżynieryjne w wielu miejscach Polski od połowy XIX w. Do roku 1955 Orłowski był w niej – od bodaj 1950 już upaństwowionej - kierownikiem i jej przedstawicielem. To z tamtego czasu pochodzi szereg zrealizowanych pod jego ścisłym nadzorem inwestycji budowlanych w ówczesnym województwie szczecińskim, m. in. na drodze Szczecin-Koszalin most żelbetowy nad rzeką Regą, w m. Płoty, po niedawnym remoncie, już na początku XXI stulecia, służący okolicznym mieszkańcom i przejeźdnym do dnia dzisiejszego. W odbudowującym się ze zniszczeń wojennych Szczecinie, w ówczesnej Szkole Inżynierskiej, przemianowanej w 1955 roku w Politechnikę, prowadził na wydziale Budowy Mostów Masywnych wykłady. Z powodu dotkliwego w powojennych latach braku podręczników sam je opracowywał na potrzeby studiujących, np. poszukiwany wówczas również przez specjalistów skrypt pt. „Mosty żelbetowe”, wydany w roku 1953 przez poznański PWN. Pięć lat później, nakładem Wydawnictw Komunikacyjnych w Warszawie, na półkach księgarń naukowych ukazała się jego praca o tytule „Podpory kamienne, betonowe i żelbetonowe mostów”.

Powróćmy do wspomnień Zofii Orłowskiej. „(...) w roku 1954 urodził się syn Jędrusia – Jacek. Pomyślałam: miejsce rodziny jest jednak w Mąchocicach.” Wrócili. „Mąż mieszkał w Kielcach, pracował w przedsiębiorstwie budowy mostów, a ja tutaj. Urządzałam dom, prowadziłam najpierw stację turystyczną, później pensjonat. Przyjeżdżali wspaniali ludzie. Bywało radośnie. Ale któregoś dnia męża wyrzucili z kieleckiego mieszkania. Raz – pamiętam – szedł do nas pieszo z miasta na kolację wigilijną. Dużo pracował, miał mnóstwo pomysłów, tylko nikt ich od niego nie chciał (...)”. Wyrzucili? To w tamtych latach typowe szykanowanie przez władze ludzi z AK czy powracających z wojennej tułaczki na zachodzie. Orłowscy, na dodatek, mieli „majątek” ziemski w Mąchocicach, mały domek babci Kosińskiej z kawałkiem ziemi, więc byli pośledniego dla tamtej władzy pochodzenia...

Syn Andrzeja, Jacek... Właściwie nie Jacek, Jureczek, który po latach poszukiwań, już jako Jerzy Orłowski, zadzwonił do mnie zgłaszając się po dziadkowe odznaczenie.

Skąd więc we wspomnieniach Zofii Orłowskiej imię wnuka Jacek?

Ta nieformalność była pamiątką po bracie Zofii, podporuczniku Janie Kosińskim, o wojennych, partyzanckich pseudonimach zrazu „Stefan”, później „Jacek”, Komendancie Rejonu Północ AK w Obwodzie Kielce, następnie – od maja 1943 r. - w tymże terenie dowódcy plutonu ochrony radiostacji, blisko współpracującym ze zgrupowaniem partyzanckim Jana Piwnika („Ponury”). Był współorganizatorem słynnego zamachu na ówczesnego wysokiego funkcjonariusza hitlerowskiego, Antona Krugera. Kosiński zginął 28. listopada 1943 roku w Nowej Słupi. Będąc ranny od postrzału w nogę podczas walki z Niemcami, w resztkach otoczonego przez nich oddziału partyzanckiego, ostrzeliwując

wrogów umożliwił towarzyszom odwrót. Nie chcąc wpaść w łapy wroga, poległ od własnej, ostatniej kuli.



Jan Kosiński, „Jacek”



Domek babci Kosińskiej w Mąchocicach. W jego pobliżu „Jacek” - Jan Kosiński - prawdopodobnie wiosną 1943 roku, wówczas komendant Podobwodzia Bodzentyńskiego AK, zbudował schron. W dwóch dużych pomieszczeniach przechowywana była radiostacja. Służyły również jako magazyn i awaryjna kwatera.

Taka była nie rodzinno patriotycznych tradycji i tragicznych przejść Orłowskich, Kosińskich... Orłowscy, Kosińscy należeli do pierwszego blasku bohaterów. Tych nie dotkniętych nawet cieniem fałszu politycznej hipokryzji, czy oportunisty, którym należą się złote litery pamięci na niezniszczalnych pomnikach, najwłaściwiej identyfikujących państwowość narodu. To ich sylwetki, wszelkimi możliwościami, należy przywoływać z zacierającej się latami pamięci, bo to tacy jak oni bezkompromisowo tworzyli co najwartościowsze w polskiej historii, nie tylko w czasach jej niewoli i walk, ale też w latach pokoju, niepodległości, nawet w okresach dwuznaczonej wolności. Wyraźnie przy tym należy odseparować ich od bandziorów, jacy pod sztandarami niepodległości po zakończeniu wojny siali wśród Polaków strach i popłoch, a dzisiaj politycznym koniunkturalizmem są na siłę wtłaczani do narodowego panteonu herosów „wyklętych”...

Ze wspomnień inż. Edmunda Hery wynika, że w tamtym, powojennym kieleckim czasie, Wiesław Orłowski, pracując w wydziale budownictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, będąc członkiem-kandydatem Towarzystwa Naukowego Ekspertów Budowlanych w Polsce, wykonał wiele specjalistycznych ekspertyz. Współpracował też ze

Stowarzyszeniem Wynalazców Polskich (Oddział w Krakowie). Zgłosił tam wiele swoich wynalazków, które zostały pozytywnie ocenione i wpisane do rejestru Urzędu Patentowego. Czy zostawały wykorzystywane? W tamtych latach w Polsce logika nie często kierowała życiem ludzi, a zwłaszcza ekonomią państwa.

Zniechęcony ówczesnymi uwarunkowaniami zawodowymi, politycznymi, trudem w możliwości utrzymania rodziny, zapewne z piętnem służby wojskowej w wojnie przeciwko Rosjanom w 1920 roku, bycia żołnierzem armii polskiej na Zachodzie i kilkuletniego tam pobytu w czasie drugiej wojny, co dla powojennej władzy było przestępstwem, a co najmniej podejrzeniem przestępstwa (takich epizodów z życia nie wpisywało się wtedy do życiorysów, nie mówiło się o nich nie tylko ze znajomymi, często nawet z członkami własnych rodzin) Orłowski postanowił jechać do Anglii.. W latach pięćdziesiątych XX w. już składanie podania o paszport do kraju zachodniej Europy było znacznie większym aktem odwagi niż zdobywanie cekaemu w bitwie kaniowskiej. Ryzykowało się nie tylko własnym losem, ale i rodziny, utratą pracy, życia, więzieniem, jakże często niedopuszczaniem dzieci do możliwości kształcenia, jakością ich przyszłości.. Oczywiście, paszportu nie dostał. Nie wyjechał. Zmarł wkrótce po przejściu na emeryturę, mając zaledwie sześćdziesiąt osiem lat, 26. czerwca 1962 roku. Bohater bitwy Kaniowskiej został pochowany w grobie rodzinnym w miejscowości Leszczyny w pobliżu Kielc.

Andrzej Orłowski, syn Wiesława, najmłodszy partyzant wojennych oddziałów lasów kieleckich, zamieszkał w stolicy, we Włochach, ukończył filologię angielską. Zdobytą wiedzę oddawał uczniom szkół warszawskich. Był również wykładowcą języka angielskiego na Politechnice Warszawskiej. Jego syn, Jerzy-Jacek, został inżynierem budowlanym, specjalistą pokrewnej profesji dziadka. Jak dziadek i on pracował nie tylko na polskich, ale i zagranicznych placach budów. Od lat mieszka w rodzinnych stronach. Opuściwszy Warszawę wrócił do Kielc. Opiekuje się również „resztówką” majątku pradziadów Kosińskich w Mąchocicach. Jego małżonka, pani Agnieszka, historyczka sztuki, prowadzi znaną kielecką Galerię Współczesną Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach.



Spotkanie po stu latach



Pp. Agnieszka i Jerzy Orłowscy. Na stole dokumenty przynależne do Orderu Virtuti Militari nr 6734 bohatera Bitwy Kaniowskiej

Oto, pokrótce, historia numeru 6734. Także ludzi - wyjątkowo wartościowych i ciekawych. Pokrótce, bo spisana piórem nieprofesjonalnym, zaledwie powodowanym chęcią odkrycia tajemnicy niepozornego aczkolwiek niezmiernie cennego w szczególnym znaczeniu przedmiotu. Zagadka jego drogi, jaką przebył z Kielc do Częstochowy i czasu trafienia pośród pamiątki moich rodziców pozostaje nie rozwiązana. Z dociekań i dedukcji rodziny Orłowskich, mojego brata i moich, nie wynika żaden konkret. Moi rodzice, przed wojną, ani później, nie mieli żadnych związków rodzinnych czy towarzyskich z kielecczyną, Puławami czy Lublinem. Podobnie Jerzy Orłowski nie odnalazł śladów swojej rodziny w rejonach Częstochowy lub okęgach z nią sąsiadujących. Może jakiś epizod wojny, która nie tylko przemieszała losy ludzi, ale i przedmiotów, stał się powodem tajemnicy? Niestety, nasi bliscy, z każdej z naszych rodzin, którzy mogliby uchylić jej choćby rąbka, odeszli już, zabierając ze sobą na zawsze wszelkie na temat tej zagadki informacje. Pytania więc pozostają. Ale czyż nie jest najważniejsze w całej tej historii, że się udało, po stu latach od rozstania, mimo nawet niezrozumiałych logice trudności, ponownie się spotkać we właściwych dłoniach temu nadzwyczaj wartościowemu odznaczeniu ze swoją legitymacją?

Serdeczne podziękowanie składam panu Jerzemu Orłowskiemu za nadesłane mi do wglądu i umożliwienie wyboru do umieszczenia na łamach niniejszego wspomnienia rodzinne zdjęcia i dokumenty, także za wyjątkowe informacje o Dziadku i Rodzinie, jakich nigdzie nie mógłbym odszukać.

Posiłkowałem się też w tekście własnymi zdjęciami oraz wiadomościami i archiwalnymi fotografiami zaczerpniętymi z łam internetu (WIKIPEDIA).

Andrzej Markowski-Wedelstett

Warszawa, kwiecień 2018 r.

